

4 AGENDA TEATR

HIT

AAA, KOTKI DWA, hej ho, wesoło... W teatrze dla dzieci rzadko usłyszeć można coś ambitniejszego niż bezbarwny, senny podkład z taśmy albo naiwne melodyjki. Tymczasem muzyka okazuje się często tym, co najskuteczniej porywa małego widza i ze znużonego marudy zmienia go w ekstatycznego uczestnika zabawy. „Pipi Pończoszanka” szczecińskiego teatru Pleciuga to pierwszy krag wtajemniczenia. Reggae, ska, rock, klimatyczne pejzaże muzyczne à la „Miasto Mania”... Na scenie zespół Doctor Fisher nadający spektaklowi beat, kolor i magnetyzm. Poprzebierani za piratów muzycy akompaniują zachrypniętej Marii Dąbrowskiej (Pipi), włączając się do akcji, nawiązując kontakt z dziećmi. Widzowie szaleją, tańczą. Może dzięki takim imprezom choć część z nich stanie się kiedyś fanami Marysi Peszek, UNKLE czy Lee „Scratch” Perry’ego. Przy znikomej edukacji muzycznej w szkołach (i absolutnym pominięciu współczesnej muzyki rozrywkowej) teatr staje się być może ostatnim miejscem, gdzie może się wykształcić gust maluchów.

Na Festiwalu Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak” w Warszawie gościło wiele zagranicznych spektakli z muzyką na żywo. Instrumenty etniczne, muzyka orientalna, didżeridu, drumla, fujara, improwizacje na saksofonach, gitarach... Muzyka ze spektaklu Pleciuga spodobała się tak bardzo, że została wydana w formie albumu „Pipi Piratka”. I choć w spektaklu rockowe klimaty klóć się czasem z dość staroświeckimi chwytami aktorskimi, krzesła na widowni i tak trzęsą się z uciechy.

„Pipi Pończoszanka” wg Astrid Lindgren, reż. Konrad Dworakowski,
Teatr Lalek Pleciuga, Szczecin



Joanna
Derkaczew

KIT

„JAKŻE MUSIAŁEŚ zalewać się żółcią za każdym razem, gdy entuzjastycznie mnie witano, jakże cię skręcało przy każdej owacji na stojąco, jak wileś się w skurczach, gdy wszyscy wokół wołali: »Chris, kochamy cię!«...» - ten list piosenkarza Chrisa de Burgha (do autora negatywnej recenzji jego koncertu) obśmiewali dziennikarze od BBC po „The Guardian”. De Burgh nie mógł zrozumieć: jak to? Publika klaszcze, a recenzent marudzi? Musi być więc więc nieszczęśliwym, złym, zepsutym człowiekiem...

Podobne niezrozumienie między ulubieńcami publiczności a krytykami będzie narastać i w Polsce wraz z rozwojem teatrów prywatnych. Artyści zakładający własne sceny (Krystyna Janda, Emilian Kamiński, Anna Gornostaj, wkrótce Michał Żebrowski) podkreślają, że chcą oferować teatr „dla ludzi”. Wszyscy im kibicują. I tworzy się dziwna sytuacja. Teatry prywatne, które na West Endzie czy Broadwayu oceniane są bez taryfy ulgowej, u nas są wciąż instytucjami „w okresie lęgowym”. Jak to się kończy? Produkcjami w stylu „Bagdad Café”, pierwszego musicalu w reżyserii dyrektorki Teatru Polonia Krystyny Jandy. Uważam, że spektakl z muzyką Boba Telsona, na podstawie znanego filmu (reż. Percy Aldon) to świetna propozycja repertuarowa. Gorzej z realizacją. Powstał kiczowaty show pozbawiony reżyserskiej ręki i pomysłu. Zalewałam się żółcią, gdy przez scenę przechodził wywijający wstażką chłopiec w baletowych rajtuzach. Skręcało mnie na dźwięk fatalnych tłumaczeń piosenek. Gdy na scenie wyczarowano lwa, usłyszałam własny jęk. Zrozumiałam wtedy, że jestem złym, nieszczęśliwym, zepsutym człowiekiem... Publika klaskała.

„Bagdad Café”, reż. Krystyna Janda, Teatr Polonia, Warszawa